NIEDZIELA
TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY
Nr. 2 Katowice, 8-go stycznia 1933

Niedziela pierwsza po Trzech Królach.

LEKCJA
z listu św. Pawła do Rzymian r. 12.

Bracia! Proszę was przez miłosierdzie Boże, abyście wydawali ciała wasze ofiarą żyjącą, świętą, przyjemną Bogu, rozumną służbą waszą. A nie bądźcie podobnymi temu światu, ale się przemieńcie w nowości umysłu waszego, abyście doświadczali, która jest wola Boża dobra, i przyjemna i doskonała. Albowiem z łaski, która mi jest dana, powiadam wszystkim, którzy między wami są: żeby nie więcej rozumieli, niźli potrzeba rozumieć; ale iżby rozumieli wedle mierności, jako każdemu Bóg udzielił miarę wiary. Albowiem jako w jednem ciele wiele członków mamy, a wszystkie członki nie jednę sprawę mają; tak wielu nas jednem ciałem jesteśmy w Chrystusie a każdy z osobna jeden drugiego członkami: w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELJA
zapisana u św. Łukasza w rozdz. II. wiersz 42—52.

Gdy Jezus doszedł do lat dwunastu, udali się Rodzice jego do Jerozolimy na zwykły obchód tej uroczystości. A po upływie świąt, gdy wybierali się z powrotem, pozostał młody Jezus w Jerozolimie, o czem nie wiedzieli Rodzice Jego. W mniemaniu, że idzie On z gromadą, odbyli dzień drogi i poszukiwać Go zaczęli pomiędzy krewnymi i znajomymi. Ale nie znalazłszy, wrócili do Jerozolimy i szukali Go. I stało się, że dnia trzeciego znaleźli Go w świątyni, gdy siedział wśród uczonych, przysłuchując się im i zadając im pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli wielce zdumieni Jego rozumem i odpowiedziami. A ujrzawszy Go, bardzo się zdziwili. Matka zaś Jego rzekła doń: Synu, czemuś nam tak uczynił. — Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie. A On im odrzekł: Czemuż to szukaliście Mnie? — Nie wiedzieliście, że potrzeba, abym brał udział w sprawach Ojca Mego? — Ale oni nie zrozumieli odpowiedzi, którą im dał. — Wrócił się tedy z nimi i przybył do Nazaretu i był im posłuszny. A Matka Jego przechowywała w Swem sercu wszystkie te zdarzenia. Jezus zaś wzrastał w mądrości i w latach i w łasce, u Boga i u ludzi.

Nauka.

Posłuszni prawu Bożemu pielgrzymują corocznie Matka Najświętsza i św. Józef do Jerozolimy na święto Paschy. Nie zrażają ich trudy dalekiej i uciążliwej podróży. Służba Bogu jest ich serdecznem umiłowaniem. Jest treścią ich życia i źródłem szczęścia.

Czy i ty w służbie Bożej widzisz istotę swego życia? Masz może czas na wszystko, na różne prace i obowiązki, na przyjemności i rozrywki, niezawsze godziwe, ale rzadko masz czas dla Boga. Bogu ofiarujesz okruchy swego czasu, Boga spychasz na ostatnie miejsce, na szary koniec.

O patrz na wzór Najśw. Rodziny, na Jezusa dwunastoletniego w świątyni jerozolimskiej!

Idzie Jezus do Jerozolimy, by ci wskazać, że modlitwa i uczęszczanie do kościoła nie powinno być dla ciebie ciężarem, ale słodkim i zaszczytnym obowiązkiem.

„A po upływie świąt, gdy wybierali się z powrotem, pozostał młody Jezus w Jerozolimie, o czem nie wiedzieli rodzice jego.“

Zguba Jezusa była dla Marji i Józefa bolesnym ciosem, bo utracili skarb najdroższy. „I stało się, iż dnia trzeciego znaleźli Go w świątyni“.

Na miejscu świętem, w Domu Bożym, w skupieniu i modlitwie najpewniej znajdziesz Jezusa.

On cię pouczy, jak masz brać udział w sprawach Ojca Niebieskiego, pouczy cię przez swe ukryte życie w Nazarecie.

Nie wstydzi się Syn Boży pracy fizycznej, prostej ciężkiej. Wykonuje ją lata całe, by ją przez to wywyższyć i uświęcić, by zrównać z sobą wszystkie warstwy społeczne.

Każde życie ciche, czyste, pracowite, pełne jest Boga, każda praca uszlachetnia i do Boga zbliża...

Amen.

Św. Paweł, pierwszy pustelnik.

(15 stycznia.)

Św. Paweł, urodzony w Egipcie, był synem bogatych rodziców. Podczas prześladowania chrześcijan uciekł na puszczę i przez pewien czas tam przebywał. Gdy wrócił, zięć niedobry chciał go wydać w ręce pogan, aby po nim odziedziczyć cały majątek. Paweł wtedy zostawił wszystko, poszedł na puszczę i tam do końca życia został, według tradycji, żywiony cudownie chlebem, przynoszonym przez kruka. Umarł w r. 250, mając lat 113. Grób dla niego miały wykopać lwy, a ciało jego pogrzebać miał św. Antoni, pustelnik.

Długie lata minęły od czasu, jak w puszczę się zaszył i tam w pieczarze zdala od ludzi mieszkał.

Boga chwalił, ze zwierzętami w przyjaźni żył.

Ubranie, w którem przyszedł tutaj z Tebaidy, dawno mu się rozleciało w strzępy. Upłótł sobie przeto suknię z liści palmowych i w niej chodził.

A teraz oto święty Antoni przy nim, pierwszy od wielu, wielu lat człowiek, który tutaj zbładził. Pustelnikiem był tak samo, jak i święty Paweł i przyszedł, aby pierwszego z pośród wszystkich pustelników odwiedzić.

Rozradowały się oczy Pawła. Pyta swojego gościa:

— Powiedz, proszę cię, co się tam na świecie dzieje?... żali pogaństwo kłania się już Bogu jednemu i Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi?... ustało-li przelewanie krwi chrześcijańskiej przez prześladowców rzymskich?... kto teraz rządzi cesarstwem?...

Antoni rozpowiada przeto wszystko, co widział i o czem słyszał starcowi, który tutaj, jakoby w grobie dziesiątkami lat przesiadywał. Starzec słucha, brodę swoją białą gładzi, głową posrebrzoną kiwa.

Nagle szum powstaje nad głowami pustelników w gałęziach palmowych. Patrzą, a to kruk czarny

z bochenkiem chleba w dzióbie ku nim zlatuje. Paweł rękę wyciągnął do kruka, a ten do nóg mu przypadł, chleb zostawił, strzepnął się i w górne odleciał przestworza.

Antoni szeroko otwiera oczy. Nie wie, jak rozumieć to wszystko.

Paweł mu powiada:

— Już sześćdziesiąt lat, jak mi ten ptak codziennie po pół bochenka chleba przynosi. Podziwiaj tu Opatrzność Bożą. Oto dzisiaj Pan Bóg przyczynił chleba dla gościa i cały bochenek zesłał. Proszę cię więc, bracie mój miły, pożywaj tej strawy z weselem.

Pożywali więc z radością serdeczną i chwalili Boga, który o nich pamiętał i żywił ich cudownie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Św. Pawła, pierwszego pustelnika, obrał sobie za swojego patrona zakon Paulinów, który na Jasnej Górze trzyma straż przy cudownym obrazie Królowej Korony Polskiej i za godło swoje przyjął palmę, pod którą znajdują się lwy, jako że z niemi Paweł w przyjaźni zostawał, a na gałęziach jej siedzi kruk z bochenkiem chleba w dzióbie.

Mały męczennik trzeźwości.

Na tle prawdziwego zdarzenia.

Mały Jaś przyrzekł Panu Jezusowi przy I. Komunji św., że do 18 roku życia nie będzie palił papierosów, ani pił napojów alkoholowych. Inne dzieci to samo przyrzeczenie zrobiły, ale może żadne z nich nie czyniło tej ofiary tak serdecznie i z takiem przekonaniem, jak Jaś. On widział już pijaków... Jego własny tatuś często zaglądał do kieliszka i — często bywał pijany. Ile łez wylała z tego powodu jego kochana mamusia, sam Bóg chyba policzyć zdoła...

I Jaś często płakał... Płakał, gdy widział, że inne dzieci od swoich ojców same pieszczoty odbierały, a on prócz przekleństw i kija z rąk własnego ojca innych pieszczot nigdy nie zaznał... Płakał cichutko, gdy był głodny, płakał w szkole, gdy go pan nauczyciel strofował — ale najczęściej i najserdeczniej płakał, gdy widział, że matka płacze...

Odruchowy wstręt czuł Jaś i do karczmy i do karczmarza i do wódki. W samej małej główce wyrozumował przecież, że tu jest źródło łez i drogiej mamusi i jego.

W dzień I. Komunji św. otworzyły się przed nim nowe horyzonty. Pierwsza radość szczera zaświtała w jego duszy. Ojcowe przekleństwa wynagrodził mu Bóg wielką łaskawością. Jezus Chrystus zagościł w jego małej duszyczce i nie przeklinał, jak tatuś, ale ukochał i błogosławił. I jeszcze inny miał powód do szczęścia. Oto dowiedział się z ust ks. prefekta, że temu kochanemu i kochającemu Jezusowi nawet on, biedny Janek, może złożyć bogatą ofiarę: cierpienia swoje, łzy codzienne, a nadto przyrzeczenie wstrzemięźliwości od tytoniu i wódki. Jaś i dziś płakał, ale to były łzy szczęścia, gdyż odepchnięty brutalnie od ojcowskiego serca, znalazł błogie oparcie na Sercu Jezusa...

Dziś modlił się za ojca serdeczniej...

Minęło dni kilka. Dzieci zebrały się w szkole na religji, lecz Jasia dziś między niemi nie było. Siedział zawsze w kąciku, do zabawy zawsze ostatni, a przecież nieobecność jego zaraz zauważyli koledzy. Wszak to najpilniejszy uczeń: on nigdy nauki szkolnej nie opuszczał. Dziś stał się wyjątek... Dlaczego? Gubiono się w domysłach, ale wszyscy przeczuwali, że stało się coś niedobrego.

Tego samego zdania był i ks. prefekt i aczkolwiek sam niezupełnie zdrów, postanowił chłopca odwiedzić.

Zastał Jasia w łóżku. Twarz rozpalona i bezładnie opuszczone ręce wskazywały, że dużą miał gorączkę i że poważnie był chory.

Na widok swego kochanego ks. prefekta, chłopiec uśmiechnął się. Z oczu puściły się łzy... W milczeniu otarł je rękawem i ze czcią ucałował rękę kapłana.

— Co się stało dziecku waszemu — zagadnął kapłan stroskaną matkę?

— Ach, księżulku drogi, lepiej nie opowiadać — odrzekł wśród płaczu. — Wczoraj posłał go mój mąż z flaszką do szynku po wódkę. Widziałam, że nie miał ochoty iść, bo strasznie ten mój robaczek złoty nie lubi picia, ale usłuchał. Przyniósł wódkę, postawił na stole i usiadł w kąciku spokojnie. Ojcu brakło towarzysza do picia, więc począł namawiać dziecko, by się z nim napiło. Jaś mój zasłaniał się przyrzeczeniem przy I. Komunji św. i grzecznie ale stanowczo odstawił podany mu kieliszek. Ojciec się zgniewał, przyskoczył do chłopca z pięściami i tak niemiłosiernie skatował, że dziecko upadło na ziemię.

Kapłan ucałował dzielne chłopiątko w czoło, bo na wyrażenie podziwu i czci dla dziecka brakło mu słów.

Jaś się uśmiechnął, błędne z gorączki rozszerzył powieki i rozpalonemi wargami wyszeptał:

— Ale Pana Jezusa nie zdradziłem.

— Bóg ci to wynagrodzi, drogie dziecko, — odrzekł kapłan — i wyszedł z wezbranem uczuciem w sercu.

Jeszcze tego samego dnia Jaś się spowiadał, przyjął Wiatyk św. i Ostatnie Namaszczenie...

Trzeciego dnia Janek już nie żył...

W białej trumience niesiono zwłoki Jasia na cmentarz. I słońce świeciło jasno i dzwony jakoś weselej dzisiaj grały na ten obrzęd pogrzebowy i świergot ptasząt z pośród cmentarnych zarośli nic nie miał w sobie smutnego... Orszak pogrzebowy miał wygląd jakiejś triumfalnej procesji...

I nic dziwnego. Wszyscy odruchowo rozumieli, że niosą wśród siebie małe ciało wielkiego bohatera. Własny ojciec go skrzywdził, ale Bóg nie skrzywdzi.

Za trumną szła matka. Ona jedna tylko szlochała głośno. Obok niej postępował wolno, z głową wdół pochyloną, ojciec... Milczał... Nawet jedna łza nie zrosiła mu oka...

Straszny jednak wyrzut sumienia: „tyś zamordował własne dziecię“ — targał jego duszę...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Od tego czasu nikt już nie widział kieliszka w jego ręce.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Na grobie Jasia klęczy jakiś staruszek... Modli się. Po chwili ze czcią całuje grób i szepcze ze łzami: Jasiu, dziecko moje! daruj mi!... jam ciebie zamordował...

To ojciec Jasia. Częściej go dziś można zobaczyć w kościele, lub na grobie syna, niż dawniej w karczmie.

Oby Bóg najłaskawszy przyjął jego łzy i jego pokutę....

Jak Walkowa męża poprawiła.

Ciężkie życie miał z żoną Walenty Śledź. Na oko niby była kobieta, jak się patrzy: zdrowa, silna, niebrzydka i nawet niegłupia, lecz cóż z tego, kiedy była latawiec i leń pierwszej wody. Mogła godzinami przesiadywać u sąsiadek albo wystawać przy płocie i pytlować o byle czem z każdą przechodzącą kobietą, nie dbając, co się w domu dzieje. A w domu, jak to zwykle, bez gospodyni, działo się źle. Wszędzie nieład, na niezmywanych od wczoraj naczyniach brzęczały roje much, a dzieci głodne palcami rwały chleb, leżący na stole. Ba, co tu mówić o dzieciach, kiedy nawet ulubiony wieprzuś, pociecha Walentowej, zamknięty w chlewiku, kwiczał z głodu rozdzierającym głosem, a kury coraz niespokojniej pogdakiwały między sobą, nadaremnie stukając dziobami w pustą miskę i wyciągały szyje na wystygłą kuchnię usiłując dojrzeć okrągłem okiem, czy niema tam czegoś do zjedzenia. Niektóre wskakiwały na komin i zaglądały do wszystkich garnków po kolei, inne grzebały w popiele, rozrzucając go na całą izbę.

Gdy Walentowa wracała i spostrzegła ślady takiej gospodarki kurzej i dziecięcej, wpadała w złość i zaczynało się bicie dzieci. Najgorzej zawsze dostawało się sześcioletniej Zosi, gdyż, jako najstarsza, powinna była dopilnować porządku.

Mąż, wracając z pracy, zastawał komin wystygły, obiad nieugotowany, a w izbie wrzask, pisk i bitwę.

— Oj, kobieto, kobieto! Oblecz ty się w inną skórę! — wzdychał biedaczysko, siadając ciężko na ławie. — Już wytrzymać w tym domu trudno!

— Jak ci źle, to się wynoś! — krzyknęła hardo i dalej uganiała się za dziećmi.

— Nie rusz mi dzieciaków! — ryknął wyprowadzony z cierpliwości Walenty. — Co one winne, żeś latawica i leń? Gdybyś nie latała, tylko pilnowała domu, wszystko byłoby inaczej! Popatrz, jak ten dom wygląda i te dzieciaczyny biedne! I ja nawet! Przy pracy wstydzę się zdjąć kapotę, bo nigdy całej koszuli nie mam na grzbiecie. Inni ludzie mają żony, a ja co?

— Nagadaj mi do łokcia, o widzisz? — odparła zuchwale Walentowa, ukazując z poderwanego rękawa brudny łokieć i stukając w niego czarnym paznokciem.

Mąż popatrzył na nią z obrzydzeniem.

— Umyłabyś się chociaż! Na twoich łapach możnaby rzepę siać! — mruknął.

— A bo ja mam czas się myć? Nigdzie przecie nie idę.

— A po domu to już można chodzić jak pomiotło. Tfu!

I splunął w kąt za ławę, gdy nagle właśnie w tem miejscu ujrzał jasną główinę najmłodszego synka, który się tam schronił przed matczynym gniewem. Ten widok rozłościł go do reszty i jak się nie porwie z ławy, jak nie skoczy do baby! Aż się w izbie zakurzyło i spłoszone kokoszki z krzykiem wyfrunęły na dwór. Dzieci powychodziły z kątów i z uciechą patrzyły, jak „tata mamę pierze".

Taki los miał Walenty ze swą żoną. Próbował z nią po dobroci — nie pomogło. Próbował złością — jeszcze gorzej. Co on powie słowo, to ona dwa. Kłóciła się z mężem ząb za ząb i prawie zawsze kończyło się na bójce. Potem Walkowa chodziła do wszystkich sąsiadek opłakiwać swój los i uskarżać się na złego męża.

Pewnego razu, gdy pytała starej, doświadczonej Burasowej o radę, ta, znając jej kłótliwy i przykry charakter, dała jej pękatą flaszkę wody i zaleciła, aby, gdy tylko mąż wróci zły, te wody nabrała w usta i trzymała bardzo długo, to mężowi złość przejdzie jakby ręką odjął. Był to stary, cygański sposób na kłótliwe żony lecz Walkowa go nie znała. Podziękowała tedy pięknie i przyrzekła rady posłuchać.

— Jeno pamiętajcie — upominała Burasowa — żeby tam nie wiem co gadał, nie połykać i nie wypluwać, broń Boże, bo wszystko na nic!

Tego dnia nie mogła się Walentowa doczekać powrotu męża z pracy, tak była ciekawa skuteczności leku. Gdy tylko wszedł, chwyciła flaszkę i upiła potężny łyk wody, poczem wzięła się do obierania ziemniaków, z pod oka przyglądając się mężowi.

Walenty usiadł przy stole i rozejrzał się po izbie. Ale w izbie był taki sam nieład jako i codzień, gdyż Jagna z niecierpliwości nie mogła się wziąć do żadnej roboty.

— Obiad znów niegotowy — odezwał się pochmurnie. — Cóżeś ty, babo, cały dzień robiła, żeś bodaj tych kartofli nie ugotowała?

Walkowa milczała.

— No, cóż, nie odpowiadasz? Zamurowaną masz gębę, czy co?

Oj, odpowiedziałaby mu chętnie, lecz woda nie pozwala.

— Ej, Jagna, nie drażnij ty się ze mną, bo cię spierę, że popamiętasz!

Zniosła i to choć nie wiedziała, że z taką trudnością jej to przyjdzie. W dodatku wody jej jak gdyby przybywało, aż policzki napęczniały zlekka i utrzymać ją było trudno. Ale już wolała przecierpieć byle męża ze złości wyleczyć.

Walenty zaś był tego dnia w szczególnie kiepskim humorze, bo zęby go od wczoraj bolały i na twarzy spuchł jak bania, więc i to uparte milczenie Jagny przypisywał jej niegodziwej naturze, która zawsze coś wymyśli, aby mu dokuczyć. Widząc, że pogróżki nie odnoszą żadnego skutku, a Jagna odwraca się doń tyłem, podbiegł, by zajrzeć jej w twarz i... zobaczył wytrzeszczone oczy i wzdęte policzki, tak samiuteńko, jak i u niego!

— O, czekaj, ty piekielnico! ty, ty mnie jeszcze będziesz przedrzeźniać! Będziesz się jeszcze natrząsać i pyski puczyć?

Tak niesłusznego zarzutu już Walkowa ścierpieć nie mogła. Chcąc się usprawiedliwić otworzyła usta... i wszystka woda chlusnęła na izbę. Ze wstydu zapomniała, co miała powiedzieć i uciekła do alkierza, ryglując za sobą drzwi.

Walenty stał z rozdziawioną gębą, nic nie rozumiejąc. Daremnie kołatał i wołał, aby otworzyła. Jagna nie odzywała się. Wreszcie machnął ręką i zabrał się do rozdmuchiwania wygasłego ognia.

* * *

Po tej nieudanej próbie Walkowa pobiegła do Burasowej z wymówkami.

— A żeby was z waszem lekarstwem! Rozpieklił się chłop jeszcze gorzej i żebym nie była uciekła, toby chyba ducha ze mnie wytrząsł!

Burasowa wysłuchała z powagą i odrzekła:

— Bo widać nie umieliście się wziąć do rzeczy, moja Walentowa. Ale nic, trza sobie z nim inaczej poradzić. Przyślijcie go do mnie, to już ja mu nakiwam.

— Ano, dobrze — odpowiedziała nieco pocieszona.

Nie łatwo było jednakże nakłonić męża do odwiedzenia starej Łukaszowej, którą mało co znał

i niezbyt lubił. Jagna nie wiedziała, jaki powód wymyślić. Na drugi dzień zagadnęła chytrze:

— Wiesz, kto ci się kłaniał?

— No? — spytał niechętnie, bo był zły.

— Burasowa.

— Idź, głupia, z burą sową! — zgniewał się, myśląc, że kpi sobie z niego.

— Ale kiedy naprawdę Burasowa, ta z Górki, nie wiesz? co za łysym Łukaszem. Mówiła, że jej zięć buduje dom i możeby mieli dla ciebie jaką robotę. Poszedłbyś zapytać się.

— A, tam! — machnął ręką — ja się jej prosić nie będę!

I zamiary spełzły na niczem.

Któregoś popołudnia, gdy Walkowa miała się brać do zmywania naczyń po obiedzie, spojrzała przypadkiem w okno i zdrętwiała. Przed oknem stała Burasowa.

— Rety! — chwyciła się za głowę — a tu nie posprzątane! I te bebny! Wynosić mi się, brudasy do alkierza, a jak które wyjdzie, to uszy ze łba powyrywam!

Ledwie zdążyła wepchnąć dzieci do alkierza, weszła Burasowa. Jagna nie wiedziała, gdzie ją posadzić. I stołki i ława były brudne i pozastawiane naczyniami. Chwytała bezładnie to jedno, to drugie, tymczasem Burasowa przysiadła na skrzynce.

— Nie kłopoczcie się, Walkowa, już siedzę — mówiła, wodząc bystremi oczkami po wszystkich kątach. —Ano, przechodziłam tędy, to i zajrzałam do was, co słychać.

— Tak jak i zawsze — bąknęła Jagna.

Kuma ze współczuciem kiwnęła się na skrzyni.

— Nic nie lepszy, powiadacie!

— Ale, lepszy! Dnia niema, żeby nie piekłował i nie wygrażał. Jeszcze teraz, jak niema roboty, to cały dzień łazi i mamroce i marudzi, aż życie brzydnie.

Dalsze skargi przerwał głuchy odgłos, jak gdyby coś ciężkiego spadło na ziemię i zaraz podniósł się pisk i wrzask nieludzki. Jagna zaklęła i pobiegła do alkierza.

Przy okienku stało tylko dwoje starszych dzieci, które z płaczem opowiadały, że Piotruś chciał wyjść przez okno i wypadł na dwór. Wybiegła więc przed chatę, gdzie stała już Burasowa, podnosząc z ziemi potłuczone i odrapane dziecko, oraz Walenty, który na krzyk synka przybiegł z szopy.

— O rety, z temi bachorami! — zaczęła lamentować na ten widok Jagna — czy to kiedy usiedzi na miejscu? Takeś pilnowała dziecka? — szarpnęła za ramię córkę, która wraz z usmarkanym Józiem zjawiła się także na miejscu wypadku i przyglądała się ciekawie gościowi.

— Taak! — krzyknęła rozżalona Zośka — jak mama nas zamknęła, a myśmy chcieli do taty, to teraz jeszcze mama będzie biła!

— No, już cicho, cicho — łagodził Walenty — nie róbta widowiska. Cichaj, Piotruś, tata da ci cukierek.

Ruszyli do domu. Przodem Walenty z płaczącym wciąż Piotrusiem na ręku, za nim Burasowa i reszta dzieci, a na końcu szła ze spuszczoną głową Walentowa.

W izbie Łukaszowa mało mówiła, lecz patrzyła uważnie to na Walentego, pojącego dziecko osłodzonem mlekiem, to na brudne, oberwane dzieci, to znów na Jagnę, którą każde jej spojrzenie piekło, niby ogniem. Tymczasem Piotruś, napojony i upieszczony przez ojca, rozbawił się i podrygując na ojcowskich kolanach, piszczał z uciechy.

— Z was byłaby niezła piastunka — roześmiała się stara.

— Ha, cóż! jak trzeba... — spojrzał na żonę i umilkł.

Jagna czuła się tak nieswojo podczas tej rozmowy, że pod jakimś pozorem wymknęła się z izby. Nie mogła im patrzeć w oczy. Gdy po długiej chwili wróciła, Burasowa zabierała się do odejścia.

— Nie będę wam więcej czasu zajmować — mówiła żegnając się — wiadomo, przy gospodarstwie zawsze jest robota. Przeprowadźcie mnie do furtki, Walentowa, coś wam powiem.

Gdy wyszły na podwórze, stara rzekła:

— Pogadałam z waszym mężem. Wcale niezłe chłopisko, tylko nieszczęśliwe. A wiecie, dlaczego? Bo ma taką żonę, że i wrogowi nie życzyć! Innyby kija nie zdejmował z takiej baby, albo poszedłby, gdzie go oczy poniosą, a ten tak cierpi! Sprawiedliwie mówię! myślałam, że tu chłop piekielnik, ale widzę, że to baba ladaco. Już sześćdziesiąt lat żyję na świecie, a jeszczem takiego lenia nie widziała! Ostańcie z Bogiem!

Odeszła, śmiejąc się urągliwie, a Jagna stała długą chwilę jak skamieniała, ogłuszona tą bez ogródek wypowiedzianą opinją. Wreszcie zawróciła do domu i z brwią groźnie namarszczoną zabrała się do sprzątania, a robota aż furczała jej w reku.

Tej nocy Walentowa długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, wzdychając ciężko. Prześladowały ją całą noc siwe oczy Burasowej, przed któremi nic się nie ukryło. Rozpamiętywała sobie całe życie od dnia ślubu, rozważając, czy rzeczywiście ona winna, czy mąż. Lecz im dłużej medytowała, tem więcej znajdywała zarzutów przeciw sobie i ciężko jej było na sercu jak nigdy. Gdy zaczęło świtać, nie mogła już uleżeć, tak jej pilno było coś czynić, działać, by naprawić tyloletnie niedbalstwo. Wstała i nie chcąc budzić nikogo, pocichu wymknęła się na podwórko. I tam znalazła dosyć roboty. Słońce się już wzniosło wysoko, gdy wróciła do izby, aby przygotować śniadanie dla całego domu Po śniadaniu Walenty poszedł do pobliskiej Górki, gdzie zięć Łukaszowej stawiał nową chatę, przy budowie której miał rzeczywiście obiecaną robotę.

Wracał do domu, wesoło pogwizdując. Otworzył drzwi i oczom własnym nie wierzył:

— Ta sama to izba, czy nie ta sama?

Niby wszystko to samo, a jakoś inaczej. Podłoga bielutka, stołki też, nigdzie ani śladu brudnych porozstawianych naczyń. Czyściutki stół przygotowany do obiadu. W kąciku bawią się dzieci, pomyte i ubrane w czyste sukienki.

Usiadł Walenty i wodził oczyma po izbie, wszędzie napotykając osobliwe zmiany. Aż usta z podziwu otworzył. A Jagna, stawiając buchającą wonną parą miskę na stole, rzekła dziwnie miękko:

— Chodź Waluś na obiad.

Nie mógł wytrzymać Walenty i skoczył do żony, mówiąc:

— Oj, Jaguś, Jaguś! jakąś ty mi dziś uciechę sprawiła! Toć ten dom jak odmienion. Żeby tak zawsze było, to jabym ci nigdy marnego słowa nie powiedział. To tylko z tej zgryzoty, że u nas nie tak, jak u innych ludzi.

— Teraz już będzie lepiej — szepnęła wstydliwie Jagna, a oczy jej się śmiały z uszczęśliwienia.

Kto wie? może i tak będzie. Burasowa znająca kobieta i niejednemu już poradziła.